

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 203.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 1/2.

Warszawa, 14 sierpnia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Michał Mniszech, marszałek wielki koronny (z drzeworytem).— Kronika tygodniowa.— Przegląd polityki zagranicznej.— Kościół parafialny w Przasnyszu (z drzeworytem).— Św. Cyryli i Metodiusz (z drzeworytem).— Puszcza białowieńska i żubry (dokończenie).— Zaniemyśl w w. ks. poznańskim (drzeworyt).— Szachy.— Rebus.

Michał Mniszech,

MARSZAŁEK WIELKI KORONNY.

Nic nie brakowało Mniszechowi z tego co zwykle ludzie nazywają darami losu. Urodził się w domu znakomitym, nosił historyczne nazwisko, posiadał wielki majątek. Mniszechowie mieli po wsze czasy wiele dumy, z powodu swoich monarchicznych wspomnień o carowej Marynie, a piastowali wysokie urzędy w Rzeczypospolitej. Najpotężniejsze rodziny polskie były z nimi w związkach krwi, w stosunkach najserdeczniejszych przyjaźni. Jeden z nich Józef, który był długo marszałkiem litewskim, później koronnym, wywierał pewien wpływ na Augusta II; jako zbliżony do tronu, odbierał cześć powszechną; bo panowie jeden przed drugim, zwłaszcza ci, którym chodziło o łaski dworu, nisko się kłaniali przed tymi, którzy mogli rozdawać urzędy i starostwa. Marszałek przyzwyczaił całe młodsze pokolenie do czołobitności przed sobą i tradycya długo po nim została.

Na tym gruncie budować zaczął wnuk jego Michał, któremu los także przeznaczył łaskę w. koronną. Michał nadto miał szczególne szczęście. Matka, kobieta rzadkiego dowcipu i nauki, jak na owe czasy, była blisko tronu, bo została w pokrewieństwie ze Stanisławem Augustem. Syn jej ożenił się z rodzoną sio-



MICHAŁ MNISZECH, marszałek w. koronny.

strzenicą królewską. To wszystko znaczyło, że silne miał poparcie u dworu. Dalej Mniszech żył w społeczeństwie, dla którego panegiryk był drugą naturą; czasy saskie ledwie co minęły i ludzie jeszcze się nie otrzęśli po nich; we wszystkim więc widzieli wielkość i najwyższe cnoty. W takim społeczeństwie historyczne imię było majątkiem, a ród bogaty i możny obywatelską zasługą. Mniszech odebrał staranne wychowanie i zadziwiał zapasem swojej uczoności. To już była jego własna zasługa i praca, która dołączona do darów losu, wysoko podniosła jego znaczenie w rzpltej.

Ale obok tych wszystkich przymiotów, obok tych zasług niewinnych, stanowiska i urodzenia, u Mniszcha wychowanie nie wykształciło ani serca, ani charakteru. Był to zawsze pan wielki, pracujący dla ojczyzny, ale bez natchnienia, bo nie oddawał jej całego serca. Na wysokim stanowisku działać można zacie i szlachetnie, lecz trzeba mieć odwagę i silne postanowienie, trzeba prawdę i dobro kochać. Mniszech był do wykonywania rozkazów biernym człowiekiem. Robił to na pewno i dobrze, w czem wiedział że mu się nikt nie sprzeciwi. Ale w kwestyi zasad, Mniszech oglądał się na siebie, na przyszłość, na stanowisko: niczego narazić nie chciał, bo tak głęboko w duszy jego nie sięgała miłość ojczyzny, był kosmopolitą doskonałym. Jeżeli kiedy, to w wieku Stanisława Augusta rzplta takich ministrów nie potrzebowała. Że jej było, bo Jędrzejów Zamojskich nie znalazła, tylko ludzi słabych i bez godności, jakim był Mniszech. A tymczasem Jędrzej Zamojski był rodzonym wujem młodego Mniszcha. Zato królowi Stanisławowi bardzo taki charakter gietki, bez woli i siły, przypadł do smaku. Król sam, niesłychanie słaby, słabymi ludźmi się otaczał; umyślnie do-

bięrał sobie takich najbliższych doradców, żeby się z nim zgadzali, żeby się poza nimi ukrywał przed bystrym okiem narodu.

Złe było więc ze strony Mniszcha, że dobrowolnie służył takim widokom; nie powinien był, jako potomek wielkiego nazwiska, osłaniać cudzych błędów: nietylko jednak nie zrobił tego, ale owszem biegł naprzeciw nęcącej uludzie, szukał sam opieki i względów. Pomimo wszelkich pozorów gorliwości i poświęcenia się, pracy i zasługi, prawdziwej miłości ojczyzny tam nie było. Ostatni Mniszech był podobny dziadowi i przodkom.

Wszyscy Mniszechowie zwykle swego dobra głównie patrzyli. Dziad jego, marszałek Józef, starał się o zaspokojenie milionowych swoich pretensyj, pochodzących z czasów samozwańca jeszcze, u cara Piotra, a gdy książę Dołhoruki oświadczył, że 6,000 czerwonozłoty towarem mu wypłaca, całą dobroduszością starał się o „melioracyą pomienionej deklaracyi“ (Biblioteka Ossolińskich, poczet nowy, t. I, 1862 r., str. 266). Upadła nisko ta rodowa duma. Ależ i wyprawy wojewody sandomierskiego do Moskwy, i cały żywot córki jego Maryny, i całe dworactwo pierwszego w Polsce Mniszcha, podkomorzego przy królu Zygmuncie Auguste, nie są to karty budujące historii. Cała rodzina myślała zawsze tylko o sobie.

Urodził się w r. 1748 z Jana Karola, podkomorzego w lit. i Katarzyny z Zamojskich, wojewodzianki smoleńskiej. Dzieckiem jeździł do Konstantynopola z ojcem, którego rzplta wyprawiła na poselstwo do Turcyi. Wróciwszy, podkomorzy umarł (r. 1759). Jedenastoletni sierota został się na opiece matki i wuja. Od niej wziął przyjemność i wdzięk, jakimi błyszczał w towarzystwach, od niego przywiązanie do ojczyzny. Ale nikt nie dał mu charakteru, nikt dosyć śmiałości, żeby z czasem mógł śmiało wystąpić, chociażby i narazić się przyszło i niełaskę ściągnąć na siebie.

Nim się obejrzał, miał już dwa starostwa za przysze zasługi, jaworowskie i starzawskie, z obudwu ustąpiła mu matka, to jest właściwie z tytułu i z części dochodów, bo kwartę sama opłacała. Jaworowskie starostwo dostał 24 kwietnia 1763 r., to jest właściwie tego dnia król dał pozwolenie, żeby matka ustąpiła mu ze starostwa (Sygillaty ks. 29). Były to starostwa od czasów króla Jana III dziedziczne w rodzinie Mniszców, bo chleb zasłużonych służył dzieciom lub wynagradzał jakieś dawne zasługi w trzecim, czwartym pokoleniu, wtenczas kiedy krew i praca dla siebie chleba dosłużyć się nie mogła. Wziął też dziedziczne pułkownikostwo w regimencie królowej.

Dorosłe dziecko, podwojony starosta i pułkownik, miał lat 13—14. Wyjechał w podróż zagraniczną z braćmi, żeby się narodowi i prawodawstwu przypatrzeć. Trzech Mniszców razem jechało, z każdym inny nauczyciel. Michałowi dała matka Eliasza Bertranda, uczonego Szwajcara, który zawiózł ich najprzód do swojej ojczyzny.

Panował już Stanisław August od kilku lat, kiedy Mniszechowie wrócili z podróży. Michał pojechał do Wiśniowca na Wołyń, który wziął w spadku, i ożenił się z Pelagią Potocką, wojewodzianką kijowską, siostrą Szcześnego. Ale kiedy mu żona umarła, przeniósł się do Warszawy. Został kommissarzem edukacyjnym i otrzymał w zarząd wydział szkół wołyński i podolski. Miał także dozór nad wszystkimi kassami edukacyjnymi w Warszawie i na prowincyi. Gotował projekta i rozprawy, wszechstronnie wykształcony, znał się na naukach przyrodzonych; napisał więc projekt, jakim sposobem możnaby ułożyć porządne muzeum rzeczy należących do historii naturalnej i fizyki. Wygotował rozprawę o guście do czytania i drugą specjalną jak prowadzić i uczyć młodzież. Posyłał artykuły o edukacyi narodowej do dzienników niemieckich i francuzkich.

Rozpraw tych nie znamy. Jedno tylko z owego czasu dziełko Mniszcha zwróciło na niego powszechną uwagę. Jest to: „Kazimir Wielki,“ w Warszawie, w drukarni Piotra Dufoura 1777 r., w 4ce str. 68.

Dziełko to, obok prac dziejowych Łojki, zwiastowało epokę Naruszewicza, ale dzisiaj nie ma już żadnej wartości.

Uczony i pisarz, bystro od tej chwili posuwał się w urzędach. W październiku 1777 r. został cześnikiem koronnym, w maju 1778 r. sekretarzem w litewskim. Wziął jeden i drugi order polski. Na sejmie 1778 r. obrany sekretarzem rady nieustającej, zasiadał i w sądach assessoryi litewskiej. Jako zawołany ekonomista, powołany był do kommissyi skarbowej. Król zapraszał go na obiady czwartkowe i portret jego kazał zrobić malarzowi Marteau. Od maja 1780 r. po śmierci Ogrodzkiego, Mniszech był szefem kancelaryi nadwornej, to jest nie odstępował ani na krok Stanisława Augusta. Mieszkał w zamku, pre-

zydował na sądach assessoryi litewskiej, bywał z wizytami po szkołach, na popisach i egzaminach. Rozwijał niesłychaną czynność.

Wtedy go król ożenił z Ursulą Potocką, z domu Zamojską, wojewodzianką podolską, rodzoną swoją siostrzenicą, która się rozwiódła z pierwszym mężem, podkomorzym koronnym. Ślub odbył się 19 lutego 1781 r. w kościele u księży teatynów. wyszła z tego powodu sielanka u Grella, niewiadomego pisarza, pod tytułem: *Wesele*. Małżeństwo to nie na dobre wyszło Mniszechowi. Wziął kobietę dumną i nieprzyzwiązaną, która nieraz nawet samemu królowi ubliżała. Mniszech umiał w pokorze znosić wybryki gniewu dostojnej pani i dobrze swoje położenie ukrywał przed światem. Łagodny, grzeczny i cichy, najzupełniejsze przedstawiał przeciwieństwo z dostojną żoną.

W trzy miesiące po ślubie zawałowała laska w lit. Otrzymał ją Władysław Gurowski, po którym mniejszą wziął Mniszech. Jednocześnie gdy król ustanowił dla swoich dochodów kommissyą ekonomiczną, Mniszech, który zdaje się podał projekt, mianowany był prezesem tej kommissyi. Oddał się cały tym ostatnim obowiązkom, bo marszałkostwo litewskie, najniższe ze czterech, częstokroć bywało martwym tytułem: do władzy rzadko przychodziło.

Oddali mu król i książe następca Katarzyny Paweł, dowód osobistego szacunku, kiedy go nawidzili w Wiśniowcu na jesień 1781 r. Paweł jechał w podróż za granicę, a matka mu poleciła, żeby odwiedził po drodze Wiśniowiec; dlatego i król Stanisław pospieszył na Wołyń. Król bawił trzy tygodnie w Wiśniowcu, czekając na Pawła, który jechał pod nazwiskiem hrabiego du Nord. Przyjechał wreszcie i sześć dni zabawił. Można sobie wystawić przepych jaki Mniszech na przyjęcie gości roztoczył.

Na wiosnę r. 1782 sam odbył z żoną podróż do Petersburga, która stanowczym krokiem była w jego życiu.

Zaraz potem na sejmie Kazimirza Krasieńskiego obrany konsyliarzem w radzie nieustającej, otrzymał wydział policyi i prezydencyą w nim. W ciągu sprawowania tego urzędu, nastęrczyła się sposobność, że został pierwszym ministrem w rzpltej, to jest marszałkiem w. koronnym.

Kiedy umarł Stanisław Lubomirski, laskę wielką powinien był z kolei wziąć po nim Franciszek Rzewuski, marszałek nadw. kor. r. 1783. Ale familia popierała Mniszcha. Trzeba było obrazić Rzewuskiego, chociaż król wielce tego ministra poważał, niewiadomo za co. Rzewuski był tak potężny w łasce królewskiej, że przed chwilą zgubił podskarbiego Tyzenhauza, który również miał i serce i względy królewskie. Odważył się Stanisław August dla nastawia rodziny prosić Rzewuskiego, żeby na ten raz z pretensyj swoich ustąpił, prosił żeby to zrobił dla jego spokojności. Rzewuski rozgniewał się i odparł dumnie, że dosyć się mu już naprzykrzyły zamkowe intrzygi. Głównie znieść nie mógł generała Komarzewskiego, na którego znajomości sztuki wojskowej król zupełnie polegał.

Nie chciał król przecież zrażać Rzewuskiego, chociażby formą. Mianował go marszałkiem w. kor. po dług umowy, na dzień jeden, bo nazajutrz Rzewuski złożył laskę, która się naturalnie dostała Mniszechowi. Dla dumy rodzinnej było to dosyć, tylko dla dumy jednego mała. Rzewuscy w swoich wspomnieniach zapisali, że mieli w rodzinie jednego marszałka w. kor., chociaż Franciszek nie piastował władzy.

Mniszech wziął po nim zawałowaną laskę. Rządy jego w dziejach Warszawy odznaczają się wybitnie. Zabrukowano miasto, uregulowano w niem wszystkie nieruchomości, przemierzono wszystkie kamienice i dworki, ponumerowano domy, ulicom nadano stałe nazwiska, sporządzono taryfę miasta. Mniszech wydawał uniwersały, ordynacje, kierował magistratami i zaprowadzał wszędzie porządek po osobnych jurydykach. Rugował Żydów z ulicy Senatorskiej, Krakowskiego-Przedmieścia i okolic. Oczyszczył miasto z nieczystości i brudów, oświecił je po nocach latarniami, zebrałków usunął.

W historii rzpltej także nie małe i w tej epoce zajmował stanowisko. Na sejmie grodzieńskim wybrany do rady nieustającej, znowu od r. 1784 przydydował departamentowi policyi. Mąż pierwszy żony ustąpił mu wtedy starostwa lubelskiego (31 maja 1783 r., Sygillaty ks. 35). W dwa lata później miał udział w sławnej podróży kaniowskiej. Przyjmował znowu króla w Wiśniowcu, potem go odwiedzał w Chwastowie, nareszcie do Kijowa z żoną pojechał. Podobno dyaryusz pobytu w tém miescie utrzymywała sama pani marszałkowa, dla przypodobania się królowi jego gomości. Nowe grzeczności, które przed kilku laty odbierali w Petersburgu, odbierali teraz i w Kijowie oboje państwo. Marszałkowa dostała order św. Katarzyny.

Podróżowali po wyjeździe z Kaniowa marszałkostwo z królem. W Korsuniu Stanisław August przedstawiał ich oboje cesarzowi niemieckiemu Józefowi. W Wiśniowcu trzeci raz podejmowali króla. Żeby mieć wyobrażenie, z jakim przepychem witał ukoronowanego wuja swojej żony marszałek koronny, trzeba czytać dyaryusz podróży kaniowskiej Naruszewicza.

Tu nagle zachodzi gwiazda Mniszcha, bo zaczął się sejm czteroletni i otworzyło się pole dla rzeczywistego patryotyzmu, dla gorących chęci, dla szerokiej inicjatywy. Mniszech wolał spokojnie siedzieć w ukryciu, niż się wdawać w sprawy, które widział niechętnie. Kiedy przecież zapadła nowa ustawa, Mniszech pisał się za nią i był z narodem; ale chwilowe tylko zwycięstwo odniósł nad sobą. Dlatego kiedy w radzie królewskiej rozprawiano nad tém, jak sobie postąpić względem Targowicy, Mniszech popierał wniosek z większością ministrów, żeby król zerwał z ustawą i przyjął nowe prawodawstwo. Sławne to było posiedzenie straży 22 lipca 1792 r.

Rok ledwie przebył potrafił Mniszech u władzy po tém postanowieniu. Widząc że się zanosi na drugi rozbiór, złożył laskę dnia 8 lipca 1793 r.

Odtąd zszedł z widowni politycznej i osiadł na ustroniu w Wiśniowcu. Przeszedł pod panowanie Katarzyny i wykonał jej przysięgę na wierność. W r. 1797 w październiku otrzymał stopień rzeczywistego radcy tajnego. Umarł w r. 1806 w Wiśniowcu, mając lat 58 życia. Żona przeżyła go o lat 10; umarła we Lwowie r. 1816.

Syna miał jednego, który się urodził w r. 1794. Znany to był miłośnik rzeczy polskich i dlatego pałac swój w Wiśniowcu uczynił składem pamiątek. Poświęcał się sam z namietnością badaniom heraldycznym i genealogicznym. Dwaj synowie jego, przyciśnieni potrzebą, sprzedali Wiśniowiec, który nigdy jeszcze przed nimi drogą kupna z ręki do ręki nie przechodził.

Julian Bartoszewicz.

Kronika tygodniowa.

Na różne listowne nagabania raz jeszcze zmuszony jestem odpowiedzieć, że kronika tygodniowa żadną miarą mieszać się nie może w prywatne nadużycia, o tyle przynajmniej, o ile nie wchodzą one w dziedzinę publiczną. A cóż obchodzić mogą ogół czytających wszelkie sprzeczki i spory osobistości dotyczące, poparte listami bezimiennymi. Choćby nawet mieściło się w tém zajęciu dla czytelników lubiących plotki, a takich jest coraz mniej, to bez sprawdzania trudno to wszystko w druku umieszczać, a znowu sprawdzać nie widzę powodu, bo żadną miarą kronika nie może być w takich swarach sędzią ostatecznym. Wybacz więc pany. że nawet dowcipny jego wierszyk przeciwko kobietom, zanadto goniącym za hołdami, nie może tu znaleźć pomieszczenia. Wada to u kobiet zwykła i pocisk chybiłby celu, bo zamiast jednego, bardzo wiele czytelniczek mogłoby te wiersze wziąć do siebie. A zresztą w zbytniej chęci podobania się nie widzę znowuż nie tak bardzo gorszącego. To nieraz cały kwiat, cała uluda młodego życia. Przecież nikt nie nakazuje mężczyznom iść koniecznie za pokusą. Są oni panami swojej woli. Nawet porównanie kokietki do zęgaru, który inną wskazuje a inną bije godzinę, nie jest wcale nowe. Słyszeliśmy czy też czytaliśmy to gdzieś, co nie dowodzi wcale aby porównanie było słusznym.

Wszakże jeżeli pany. i dwóch innych, których nie wymieniam, chcą się koniecznie bawić w druk i na wieczną rzecz pamiątkę unieśmiertelnić w pismach peryodycznych opis swoich czy też cudzych przygód, mogą im wskazać do tego pewną i właściwą drogę. Artykuły tego rodzaju, podnoszące kwestye domowe, albo uliczne, przyjmuje Kurjer Warszawski, z tym tylko warunkiem, ażeby zamieszczający artykuł dołączył do niego pewną kwotkę pieniężną na cel dobroczynny obrócić się mającą. I zdaje nam się że Kurjer w tej mierze bardzo dobrze sobie poczyna, bo na różne zakłady dobroczynne nie mało już przez drukowanie takich artykułów zebrał pieniędzy. A jako pismo bardzo oględne, nie pyta się kto jest autorem i przeciwko komu pocisk wymierzony, zadawalniając się wymienieniem początkowych liter nazwisk i dwoma lub trzema złotymi, które są prawdziwym sensem moralnym tego rodzaju wypracowań. Tym sposobem wszyscy zadowoleni, autor, redaktor i publiczność. A jeżeli obrażony odpowiada, co jest rzeczą zbyteczną, bo któżby się z początkowych liter albo gwiazdeczek domyślił czego, to i z tej odpowiedzi do kasy instytucji dobroczynnych nowy zasilek przybywa. Tam więc ułatwiają się ostatecznie, jak często czytać

możemy, spory wynikły przy preferansie, rozmaite kwestye dotyczące grzeczności towarzyskiej, wspólne różnopleciowe zażalenia, drobne sprzeczki pomiędzy wierzycielami a dłużnikami i mnóstwo innych różnego zakresu i różnych odcieni wypadków, codziennie się przydarzających. Co do nas nie mamy wcale zamiaru stawać na drodze temu uregulowanemu dochodowi zakładów dobroczynnych, i polemikę, która u nas miejsca znaleźć nie może, odsyłamy do Kuryera, gdzie za zwykłą opłatą może się rozstrzygnąć w jak-najlepsze.

Opowiadano nam w tych dniach fakt, który dowodzi jak przeważną jest siła przyzwyczajenia. Wiadomo że ze wszystkich mieszkańców Europy, Anglicy najbardziej przywiązani są do zwyczajów i obyczajów narodowości swojej. Wszędzie gdziekolwiek podróżują, przenoszą oni z sobą jakby kawałek atmosfery swojej wyspy. W Egipcie czy w Indyach, w Szwajcaryi, we Włoszech czy w Paryżu, Anglik musi mieć obiad przyrządzony na swój własny sposób, i właściwe ubranie i napoje mocne i sposób zachowania się specjalny. Nawet w Afryce pod równikiem zajada w najlepsze mięsne potrawy i pije whisky; nawet zwidzając Memfis i Teby, gdzie nigdy deszcz nie pada, musi mieć z sobą nieprzemakalne ubranie i patentowany parasol.

I nic w tém dziwnego, w wyobrażeniu bowiem Anglików dobrém jest i praktycznym to tylko wyłączenie, co u nich jest sporządzone i co u nich znajduje się w użyciu. Pogardzają sposobem życia, przemysłem i plodami innych krajów. I gdyby mogli jakis domek londyński schować do walizy, uczyniliby to niezawodnie, żeby mieć przynajmniej przyzwoite mieszkanie w podróży na stałym lądzie.

Jest jednakże jeden plód cudzoziemski, którym Anglicy nie pogardzają wcale, owszem przenoszą go często nad swoje rodzinne produkty. Tym plodem są kobiety. I nie chcemy wcale, twierdząc to, uwłaczać piękności dam angielskich, których białoróżowe wdzięki słynne są po całej Europie, których drobne rączki i nóżki przyprowadzają do rozpaczyszewców i rękawiczników stałego lądu, kiedy jaka piękna lady lub miss, zagrożona w Paryżu lub Florencyi brakiem koniecznych przyborów toaletowych, udaje się do miejscowych zakładów po odnowienie zapasów. Angielki pod względem ujmującej powierzchowności mogą walczyć o lepsze ze wszystkimi pięknymi kobietami całego świata; potwierdza to nawet historia, najsłynniejsza bowiem w dziejach nowocześniejszych z piękności ciała Anna Boleyn, druga żona Henryka VIII, urodziła się w Anglii, chociaż wychowanie we Francyi brała.

Ale natura ludzka tak już jest utworzoną, że to co dalekie od nas bardziej nas nęci, niżli to co znajdujemy u siebie pod ręką. Wszakże nie jeden raz już doświadczenie przekonało, że damy polskie, które u nas wcale wielkiego wrażenia nie sprawiły, przybywszy do Paryża stawały się królowymi salonów, i zapalały ogniami miłosnymi artystów, uczonych, dyplomatów, ministrów. My zaś wielokrotnie przy zdarzonej sposobności oddawaliśmy wzajemność Francuzkom. Toż samo i co do innych narodów zauważyćby można. Łatwiej pokochać się w obcej aniżeli we własnej siostrze, albo nawet dalszej krewniej, a każdy naród jest zawsze jakby jedną rodziną i pomiędzy współziomkami istnieje pewien stopień krewności, niby pobratymstwo krwi z jednej wspólnej matki.

Więc wychodząc instynktownie z téj zasady, pewien majątny obywatel angielski w podróży pokochał się szalenie w pięknej Polce. Przeszkód do małżeństwa nie było żadnych, oboje młodzi, majątni i niezależni, nie stawiali żadnych zawad uczuci, które ich pociągało ku sobie. W podróży związku tego rodzaju szybko się zacieśniają. Ale przy wymienieniu słowa, współrodaczka nasza zażądała od Anglika żeby zamieszkał w Polsce, żadnym bowiem sposobem nie chciała rozłączać się z rodziną.

Zakochany Anglik przystał na wszystko. Pojechał do Londynu dla załatwienia koniecznych interesów i powrócił tu wkrótce ze zdwojoną jeszcze miłością w sercu.

Zapomniałem wam powiedzieć że działo się to kilkanaście lat temu.

Ślub odbył się według zwykłych formalności i młodzi małżonkowie zamieszkali w Warszawie, gdzie pan młody objął ster ważnego bardzo przemysłowego przedsiębiorstwa.

Ma się rozumieć że przywiózł on z sobą z Londynu wszystko to co uważał za konieczne do udogodnienia zwykłych warunków, a czego w naszym półbarbarzyńskim kraju nie spodziewał się dostać. I jedyna tylko niedogodność chmurzyła wzorowe pożyte młodego małżeństwa. Oto Anglik żadnym sposobem

nie mógł się przyzwyczaić do naszej polskiej kuchni. Naprawdę szczerze kochająca go żona dokładała wszelkich starań, ażeby brak ten mniej dotkliwym dlań uczynić, naprawdę sprowadziła z wielkim kosztem kucharza, który przez długi czas w Paryżu uczył się angielskiej kuchni, naprawdę urządziła dom po londyńsku i kazała przepłacać u rzeźników naszych mięso, ażeby było choć trochę podobne do owych olbrzymich, tłustych i krwawych sztuk wołowych, które dla Anglików najwyborniejszy przysmak stanowią. Zawsze różnica była zbyt widoczną, mąż nie zalił się, ale warszawski pokarm, choć na angielski przyprawiony sposób, nie służył mu widocznie. Chudł ciągle i tracił na humorze, a sam widok polskiej potrawy, przypadkiem na stół podanej, naprzykład zrazów, barszczu albo kapusty na kwaśno, nabawił go mdłości.

Otóż zdarzyło się że po upływie kilkunastu lat, w bieżącym roku, jeden z naszych znajomych spotkał się z tym Anglikiem w pewnym mieście niemieckim. Przybywał on z Londynu gdzie bawił parę miesięcy, zajęty bardzo ważnymi sprawami, z któremi załatwiwszy się nareszcie wracał do kraju.

— Jak się masz? co porabiasz?

— A co u was słychać?

— Czy dawno wyjechałeś z Warszawy?

— Kiedy wracasz?

Te i tym podobne zapytania posypały się jak grad, jak to się zwykle dzieje pomiędzy znajomymi, kiedy się z sobą za granicą spotkają.

A było to właśnie na ulicy.

Trzeba zaś wiedzieć że pan***, przez czas pobytu swojego w Warszawie, wyuczył się był po polsku jak rodowity Polak i trudno było w nim odgadnąć cień obcego pochodzenia.

Kiedy tak szli razem, rozmawiając ze sobą, nadarzył się sklep szewca.

— Wybacz, ale muszę tu wstąpić, rzekł pan.**

— Jako? po co?

— Kupię sobie buty.

— Buty? tutaj? Ale wszakże wracasz wprost z Londynu. Tam o ile słyszałem najslawniejsi szewcy w świecie, więc powinienes być zaopatrzyć się w obuwanie.

Ale gdzież, tam? kupilem sobie wprawdzie tam parę butów ale musiałem wyrzucić je w drodze. Wystaw sobie, kowska robotą; może one mocne i trwałe, ale twarde, cisną, a tak ciężkie, że z trudnością nogi za sobą dzwigać mi przyszło. Bogdaj to nasi szewcy warszawscy! Tak się przyzwyczaiłem już do ich roboty że innej znieść nie mogę. I widzisz oto chodzę w dymkowych butach, które musiałem nabyć w Belgii, a tu kupię sobie skórzane, bo przynajmniej robota do warszawskiej podobna, a ponieważ muszę parę tygodni zabawić w Niemczech, będę miał w czém chodzić.

Znajomy nasz patrzył na niego z podziwieniem.

— Ale cóż się z tobą stało? zawołał nareszcie, wszakże wiem że dawniej ani szewców, ani krawców warszawskich, ani zgola żadnego rzemieślnika miejscowego ścierpieć nie mogłeś i wszystko do domowego użytku sprowadzałeś z wielkim kosztem z Londynu.

Pan*** spojrział na niego z uśmiechem.

— Widzisz, rzekł, człowiek zmienia się z czasem, tak się i ze mną stało. Dzisiaj ze mnie warszawianin zabity. Żebyś wiedział jak tęsknię do naszego barszczu i pieczeni z różną użaliłbyś się nademną. Prawdziwie nie wiem jak oni tam żyją w Londynie? Potrawy tłuste, nasycające, a ciężą w żołądku, że nie podobna ich strawić, gdzież to porównać do naszej polskiej kuchni? Albo nawet piwo! Nie wiem dlaczego z takim kosztem sprowadzają do Warszawy porter z zagranicy. Bo nie masz jak piwo warszawskie. W obecnej mojej podróży przekonałem się o téj prawdzie. I wszystko co mam ze sobą, oprócz owych nieznośnych butów, przywiózłem sam z Warszawy. Nawet w Anglii na zdrowiu poszwankowałem. Powietrze ciężkie, dymne, mgliste. Żebyś mnie teraz nie wiem wiele płacił, nie chciałbym mieszkać w Anglii.

— Dziwna rzecz rzekł nasz znajomy.

— Nic dziwnego odpowiedział pan***. Człowiek do dobrego i złego się przyzwyczaja, a w Warszawie musi być dobre, kiedy tak tęsknię do niej. Tam moja żona, tam moje dzieci, tam wszystko co kocham, a lżej oddychać powietrzem, którym oddychają istoty ukochane przez nas. Jestem zawsze przywiązany do Anglii, jako do pierwszej ojczyzny mojej, chwala jej i wielkość napelnia mnie dumą, uważam Anglików za pierwszy naród świata, pod względem rozwoju umysłowego i materialnego, ale żyć i umierać pragnę tylko w Warszawie. I wcale nie myślę żebym dlatego tak mówił że się odzywam do Polaka, lecz takie jest moje szczerze przekonanie.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

13 sierpnia.

Kwestya reformy Związku niemieckiego stanęła dzisiaj na pierwszym planie dziennikarstwa zachodniego. Urzędowa Wiener Ztg. z dnia 6 b. m. doniosła, że cesarz Franciszek Józef wysłał listy odrębne do wszystkich monarchów niemieckich i miast wolnych, wzywając do uczestniczenia w obradach nadreformą Związku. Obrady te rozpocząć się mają w dniu 16 b. m. w Frankfurcie, i nadać mają nową postać Związkowi, za pomocą ustanowienia parlamentu z wyborów, oraz innych reform politycznych i ekonomicznych. Według urzędowych zapewnień, król wirttembergski, wielcy książęta: badenski, hesenski i meklemburg-strelitz, książę elektor hesenski, sasko-meiningen i nasauski, przysłał senat frankfurcki, przyjęli już zaproszenie cesarskie. Prusy dały odmowną odpowiedź. Depesza z Frankfurtu z d. 8 Sierpnia donosi, że Prusy usprawiedliwiają odrzucenie zaproszenia w nocie okólnikowej do swych reprezentantów przy dworach niemieckich. Prusy zgadzają się na to że reforma Związku jest koniecznością, ale sądzą że ta reforma powinna być ułożoną na konferencyi osób fachowych, i że rezultat obrad konferencyj zatwierdzonym być może przez panujących. Nota kończyć się ma zapewnieniem, że tylko na podobną konferencyę ministrów prasy przysłał swych reprezentantów. Urzyskują, że król pruski odmówił ustnie w Gastein jeszcze, z drugiej zaś strony Memorial diplomatique twierdzi, że cesarz austriacki oświadczył stanowczy zamiar doprowadzenia do skutku reformy związkowej, czy to z współudziałem Prus, czy bez takowego.

Monitor ogłasza, że zgromadzenie notablów w Meksyku oświadczyło generałowi Forey, że lud meksykański obrał monarchiczną formę rządu, zamieniając rzeczpospolitą na cesarstwo, i że nadto ogłasza cesarzem arcyksięcia austriackiego Maksymiliana. W tym celu, deputacya z pięciu członków złożona, odplynęła do Europy, wioząc do Wiednia dekret junty, ofiarującej tron meksykański bratu cesarza. France zapewnia, że cesarz Napoleon wraz z małżonką przesłał już pozwolenia arcyksięciu Maksymilianowi. Zgromadzenie meksykańskie oświadczyło także, iż w razie odrzucenia tych propozycy, przez arcyksięcia, lud meksykański uprasza cesarza Napoleona o przedstawienie kandydata do tronu według myśli i woli cesarskiej. W d. 7 b. m. odbyła się w Saint-Cloud rada ministrów, która przeciągnęła się dość długo bez ważnych następstw lub jakichkolwiek zmian ministerjalnych. Cesarz po odbyciu wycieczki do Pin, wrócił do Paryża dla obchodu uroczystości napoleońskiej w d. 15 b. m.

Dzienniki amerykańskie donoszą, że prezydent Stanów oderwanych Davis wysłał do cesarza Napoleona poselstwo z propozycją przymierza zaczepno-odpornego. Prezydent Davis obowiązuje się uznać protektorat francuzki w Meksyku i znieść instytucyą niewolnictwa. Donoszą z Rzymu, że Antonelli nakłania ojca św. do rozpuszczenia armii papieżkiej, która istotnie jest niepotrzebną w obec załogi francuzkiej, a co gorsza pochłania dochody państwa Kościelnego. Przychylenie się ojca św. do tego projektu w tém jeszcze byłoby ważnym, że oddaliłoby od steru ks. Merode, któremu opinia publiczna zły wpływ na papieża przypisuje.

Młody król Jerzy I postanowił przyjąć tytuł „króla Hellenów.“ Rząd francuzki rozkazał naprawić w Turynie fregatę grecką „Hellas“ która powiezie młodego monarchę do portu pirejskiego.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Constit. Jour. des Deb. France.)

Ostatnie depesze. Londyn 10 sierpnia. Times bardzo przychylnie mówi o przymierzu między Stanami oderwanymi i Meksykiem, pod protektoratem Francyi. Kuryer Stanów Zjednoczonych zawiadamia, że na 135 członków zgromadzenia notablów w Meksyku, 132 oświadczyło się za ustanowieniem cesarstwa i powołaniem arcyksięcia Maksymiliana.

Londyn 11 sierpnia. Wiadomości z Nowego-Yorku dochodzą do d. 4 sierpnia. Meade stanął nad Rappahannockiem i wyczekuje bitwy. Lee stoi pod Gordonsville. General Burnside ogłosił stan oblężenia w Kentucky. W ostatnich trzech dniach federaliści stracili pod twierdzą Wagner około 1,000 ludzi. Kon-skrypcyja w New-Yorku rozpoczęła się znowu w d. 3 sierpnia.

Paryż 10 sierpnia Cesarz Napoleon przyjechał w sobotę do Pin. Napływ widzów był niezmierny. Przeszło sto tysięcy ludzi powitało go okrzykami pełnymi zapału.

KOŚCIÓŁ FARNY W PRZASNYSZU.

Z dawniej świetności niegdyś ludnego i dobrze zabudowanego Przasnysza, który za książąt mazowieckich był stolicą osobnego starostwa, a dziś jest miastem powiatowym, pozostały, jako jedyna pamiątka, starożytne i pod wielu względami interesujące jego kościoły. Pomiedzy niemi szczególnie odznacza się Fara, lubo przez niżenie dachów, wystawienie nowych szczytów i sygnaturki, oraz otynkowanie murów, ma teraz pozór zupełnie nowożytny. Pomimo to wszystko, zachowała ona jednak na sobie kształty, które jej założenie do piętnastego wieku, jeśli nawet nie wcześniej, odnosić każą. Pod względem budowniczym, odznacza się głównie okrągłym przy ścianie północnej przybudowaniem, schody na poddasze kościelne w sobie mieszczącym, i podgziemsową ozdobą, z samych ostrołuków złożoną. Kościół ten w naszych czasach został wyrestaurowany tak zewnątrz jak i wewnątrz, ale tynk na starych murach rzucony trzymać się nie chce i prędzej czy później, potrzeba go będzie zdjąć z-

główna, czując pamięć tych oświecicieli Słowian, odkryła w tymże roku pamiętnego obchodu kilka katedr narzeczy słowiańskich, a między temi katedrę starosłowiańskiego języka i literatury.

Pojmując całą doniosłość tego urzędnienia szkoły głównej, nie wahał się przy otwarciu kursu zwrócić uwagę naszych słuchaczy na nagłą w pewnym względzie potrzebę dokonania, na wstępie do tego roku uroczystego, sumiennego obrachunku z tysiąca lat ubiegłych, w celu przeświadczonego zeznania *jak i w czem* odpowiedzieliśmy, lub nie, wezwaniu naszych błogosławionych apostołów.

Nam, którzyśmy ze wszystkich Słowian poddali się pierwsi prądowi cywilizacji europejskiej, obrachunek ten tém więcej zdawał się być potrzebnym, że w skutek przedawniałej obojętności czy opieszałości naszej dla języka starosłowiańskiego, doświadczaliśmy już niejednokrotnie przykrych i dojmujących zarzutów tak co do języka jak i pisowni naszej, które przesądna i fałszywa krytyka nie wahała się wykluczać nawet ze społeczności czysto słowiańskiego piśmiennictwa. W innym miejscu daliśmy próbę zbijania tych zarzutów

się z biegiem czasu i jako sam czas zmieniają. Kościół zaś Boży sięga wieczności i Boga. Pośród zmieniających się i przechodnich królestw świata tego, kościół katolicki, zbudowany na tym kamieniu, którego bramy piekielne nie przemogą, trwa zawsze ten sam, zawsze niezmienny. W tej żywej i Bożkiej niezmienności swojej jest on atrakcyjnym i grawitacyjnym wszystkich narodów i wieków punktem, który im udziela tej jedności życia i pojęć, jakich one nie znajdują w sobie samych.

Zatrzymawszy się na stanowisku tego pojęcia, przekonamy się z łatwością, jak blahemi są wszystkie sceptyczne wywody (1), jak śmieszni wszelkie podziwy i niedowierzania, z którymi się niektórzy historycy, obojętni lub niezyczliwi katolicyzmowi, tylokrotnie odzywali (2), już nietylko o posłannictwie błogosławionych Cyrylego i Metodiusza, ale i o wielu najpewniejszych z ich życia faktach.

Dzięki bezstronnej, historycznej krytyce, możemy w obecnym czasie zredukować główny zarys życia naszych słowiańskich apostołów do wniosków takich, które się najzupełniej zgadzają z dawnymi o nich po-



KOŚCIÓŁ FARNY W PRZASNYSZU.

pełnie. Dzwonnica, obok tego kościoła stojąca, na której zegar wieżowy jest umieszczony, od samej świątyni nieco późniejszą się zdaje. Wszakże należy ona jeszcze do pomników gotyckiej architektury, jest bardzo charakterystyczną i na troskliwe zachowanie zasługuje.

BŁOGOSŁAWIENI CYRYLI I METODIUSZ

APOSTOŁOWIE SŁOWIAN.

Na rozległej przestrzeni całego katolickiego Słowian świata, obchodzono w roku obecnym uroczystą pamiątkę tysiącletniego istnienia języka i literatury słowiańskiej, która się w tyliczne ramiona i gałęzie rozrodziła, od czasu błogosławionych apostołów Cyrylego i Metodiusza.

Kraj nasz podwójnie powinien mieć do tego powody i pobudki. Pierwsze, wspólne wszystkim współpracownikom Słowianom, drugie wyłącznie, miejscowe, ale obowiązane tej ważnej okoliczności że nasza szkoła

pozornych. (4) Rzeczą będzie szkoły okazać w czystym świetle ich fałszywość. Sądzę jednak że i dla czytającej publiczności nie będzie obojętną rzeczą zapoznanie się, choć pobieżne, z potężnym wpływem religijnej, politycznej i literackiej misji, który ci błogosławieni apostołowie na cały świat słowiański wywarli i pod którym to wpływem świat ten słowiański lat tysiąc zostając, w nim tylko ideę swego aktualnego postępu i udoskonalenia w łonie człowieczeństwa odzyskać może.

a) *Missya religijna.*

Mysł, którą znakomity historyk kościoła Rohrbacher (2) odkrywa kartę dziejów IX wieku, posłuży nam do wyjaśnienia wielkiego wpływu misji religijnej naszych słowiańskich apostołów, a zarazem do wykrycia niektórych pozornych sprzeczności w ich życiu.

„Królestwo ziemskie, powiada on, są czasowe; one

(1) Postęp i wsteczność w dziedzinie kształcenia się języków słowiańskich rozważane. Kijów 1862.

(2) Histoire Universelle de l'Eglise Catholique par Rohrbacher. Paris 1844 t. XII str. 142—143.

daniami, jakie bezzasadnie do legend tylko nic nieznaczących odnieść chciało, a które przecież, odświeżone w czystym źródle nauki, dziś podwójnie dla czytelnika być powinny zajmującymi.

Na takich więc historycznie wspartych i udowodnionych podaniach gruntujemy obecnie nasz pobieżny życiorys o błogosławionych apostołach słowiańskich Cyrylim i Metodiuszem.

Słowianie, zamieszkujący w IX wieku nie mniej obszerną przestrzeń Europy jak dzisiaj, w miarę zbliżania się swego do Rzymu lub Carogrodu, ulegali wpływowi zachodniej lub wschodniej misji chrze-

(1) Blumberger podaje w wątpliwość wezwanie św. apostołów do Morawii, zaprzecza autentyczności listów papieżkich jak do tych apostołów tak i do książąt morawskich i t. d. i t. d. Bezzasadność tych wątpliwości obacz w dziele: *Viek i djelovanje św. Cyrilla i Methoda*. Nacrtao prof. Dr. Raczki. Svezak II u Zagrebu 1859 str. 337.

(2) Pogodin w dodatkach do dzieła Dubrowskiego „*Kiril i Metodij, slawianskije pierwoucziteli*” str. 122, dziwi się: 1) że Cyryl i Metodiusz, będąc Grekami, uznali nad sobą władzę papieża i 2) że Focysz patryarcha, wzmiankując o nawróconych narodach, nie wymienia Morawian.

sciańskiej. Nad większą częścią zachodnio-północnych Słowian przemógł z natury wypadków wpływ rzymski, nad znacznie mniejszą południowo-wschodnich wpływ carogrodzki. Z natury i charakteru swego spokojni i łagodni Słowianie, bez oporu prawie poddawali się tym wpływom, dopóki one nie przekraczały granic samęj li tylko religijnej missyi. Ale już bardzo wczesnie, bo jeszcze za czasów Karlowinga, krzyż wiary podniesiony przez Niemców, stał się w ich ręku narzędziem zawojowania Słowian. Pod osłoną tego obosiecznego miecza, biskupi niemieccy zaczęli się dopuszczać przywłaszczeń i zdzierstw wszelkiego rodzaju. Doświadczył tego patriarchy akwilejski, wcielony w pewnej części do biskupstwa juwawijskiego w Zalsburgu, doświadczyli Słowianie Morawii, Pannonii i Syrii, wcieleni do tegoż biskupstwa 798 r. W sejmach germańskich owego czasu jawnie się objawia dążność do powszechnego ujarznienia Słowian. Tak wczesnie u Niemców religia stawiała się środkiem podboju Słowian.

Pośród takich okoliczności, trzech potężniejszych słowiańscy książęta Pannonii i Morawii: Rościław, Świętopelk i Kocel, wysłali 862 r. do Michała III cesarza bizantyckiego posłów, prosząc o zastąpienie ich od tyranii niemieckiej. Ze zaś w tym właśnie czasie dobitniej określać się poczynano współzawodnictwo dwóch naczelnych władz duchownych, o diecezje w Illirji i Macedonii, dwór przeto bizantycki mile przyjął posłów słowiańskich, spodziewając się że tym sposobem ostatecznie utrwali w wierze i stanowczo zatrzyma przy sobie Słowian, czemu właśnie nacisk niemiecki przeszkadzał. *Rostisław morawskij kneź, powiada pannoński biograf błogostawionych naszych apostołów, swiet stwori (naradę uczynił) s knezi swoimi i s Morawlany, posła k Carriu Michailu glagole (mówiąc): ludem naszym pogaństwa se otwergszim i po christijansk se zakon derżeszczim ucziela ne imam takowago, iże by ny (który by nas) w swoj język i s tają wiera christijanską skazał (wykladał), da byszę i iny strany togo zreszče (patrzac na to), podobiliby se nam. To posli nam Władyko episkopa i ucziela takowago. Ot was bo na wse strany wseгда dobryj zakon ischodit.*

A był w salonickim grodzie mąż niejaki, dobrze urodzony i bogaty, któremu na imię było Lew. Ten dzierzył drugi urząd po strategu. Był zaś prawowiernym i chował wszystkie przykazania Boże, jako niedgys Hiob. W liczbie siedmiorga dzieci, któremi go Bóg pobłogosławił, dwóch świetniało wielkimi zdolnościami i cnotą: starszy Metodiusz i najmłodszy Kon-

stanty. Starszy wczesnie zwrócił na siebie uwagę cesarza, który go zrobił zarządcą jakiejś ziemicy słowiańskiej (1), młodszy od dzieciństwa oddał się naukom, a szczególnie teologii. Wielkie postępy w naukach, jakie, wezwany do Carogrodu, okazał Konstanty, zjednały mu wkrótce miano filozofa, pod jakim był

wadził na pokoje cesarskie (*w carewą palatą s dr'znowenijem wchoditi*). Chciał go nawet ożenić ze swoją chrześną córką, obiecując znakomitą posadę stratega. Konstanty odpowiedział: wielki to dar zaiste, ale dla tych, którzy go potrzebują. Dla mnie nic nie ma nad naukę; nią oświeciwszy rozum chcę pradiadowskich czei i bogactwa poszukiwać. Usłyszawszy tę odpowiedź, Logothet udał się do cesarza mówiąc: „młody ten filozof nie zamilował tego życia, owoż go w świat nie puścimy, ale postrzygłszy, oddamy do klasztoru na służbę; niech zostanie bibliotekarzem u św. Zofii przy patryarsze. Tym sposobem go tylko zatrzymamy.“ (1) I tak z nim postąpiono. „Jednak, dodaje biograf: mało sobie robiąc z tego Konstanty udał się na morze i skrył się w monasterze. Szukano go przez 7 miesięcy i zaledwo znaleziono, a nie mogąc zmusić do pozostania w Carogrodzie, uproszono go, aby przyjął godność nauczycielską i nauczał filozofii ziomków swoich i obcych. To wezwanie przyjął.“

I wielkim zaiste musiał być filozofem, kiedy nie tylko groził patriarchy Antoniego obrazoburczą, ale nawet podniósł głos prawdy przeciwko potężnemu bardzo podówczas ulubieńcowi cesarza Focyszowi, z którym nawet dawniej miał w przyjaźni zostawać, wyrzucając mu, gdy ten zaczął wprowadzać naukę o istnieniu dwóch dusz w człowieku, że tylko nienawiść i zazdrość do św. Ignacego patriarchy mogła go oślepić do tego stopnia. (2)

Snadź na zepsutym i wyuzdanym w szaleństwie dworze bizantyckim (3), gdzie monarcha śmiał się publicznie z tego, że nie jednego ale trzech posiada patriarchów, nazywając Teofila swoim (4), Focysza patriarchą wuja swego Bardasa, a Ignacego patriarchą chrześcian (5), na takim dworze powiadamy, nie mógł być cierpianym świętobliwy, cichy, ale prawdomówny Konstanty. Starano się go też przy pierwszjej nadarzoncj zrzecności zbyć z oczu, do czego się łatwo nadarzała sposobność, przy tak obszernych stosunkach, jakie Carogrod prowadził z oddalonym wschodem. Jakoż posyłano go niejednokrotnie to do Saracenów, dla przedysputowania ich o jednobóstwie Trójcy świętej, to do Kozarów, których nawrócił, a sam nau-



ŚW. CYRYLI I METODIUSZ, apostołowie słowiańscy. (Rysował ze sztychu Tegazo).

wiadomym na dworze bizantyckim, i do najwyższych zaszczytów i godności otwierały drogę. Opiekun i mecenas jego Logothet przyjął go w swym domu i wpro-

(1) Car' uwiediew bistrost jego, kneženije jemu dast drzati słoweńsko. Ziv. su. Method. II.

(2) Acta Concil. et Epist. decret. ac Constit. Sum. Pontif. t. V. Parisiis MDCCXIV c. 752. 753, w artyk. Concil. Constant. IV Oecumenicum VIII.

(3) Hist. du Bas-Empire I 70 et seq. Cedr. Zon. Leo. Symeon. (4) O usposobieniu cynicznym tego patriarchy, patrz Rohrbacher t. XII str. 150. 151.

(5) Epist. Labbé pag. 1214.

(1) Miklosich Chrestom. Paleoslov. str. 59.

czyli się pomiędzy nimi języków hebrajskiego i samarytańskiego i zwłoki św. Klemensa papieża z morza wydobył; to w inne miejsce do Kozarów, aż za góry Kaukazkie, z kąd udając się z powrotem mało nie został przez Węgrów zabitym. W tej ostatniej wycieczce, zdaje się według serbskiej legendy, Konstanty był razem z bratem swoim Metodiuszem i dokonał cudu zamienienia wody morskiej w słodką, a wzięwszy od Kahana Kozarskiego 200 niewolników greckich, zamiast bogatych podarków jakie mu przekładano, powrócił do Carogrodu, zabrawszy z sobą zwłoki św. Klemensa.

Pomimo wielkich zasług, jakie położył w kościele wschodnim przez nawrócenie lub upokorzenie zaślepienia tylu barbarzyńskich ludów, pędził bardzo skromne życie w Konstantynopolu i często nawet narażał się na niedostatki. Pewnego razu w dzień świąteczny, powiada serbski legendzista, smucił się sługa jego: „*wszak ci nam wszystkiego brakuje na ten dzień świąteczny.*“ „*Ten który niegdyś nakarmił Izraela w pustyni i nas pewno nie zostawi bez pokarmu,*“ odpowiedział św. Konstanty. Jakoż cudownie został nakarmiony.

Podczas kiedy Konstanty radował się w Bogu z dzieł dokonanych przez siebie, powiada legendzista, *przyspiałły inne rzeczy i trud nie mniejszy od pierwszych.* Wtedy bowiem właśnie nastąpiło, wyżej przytoczone, poselstwo słowiańskich książąt: Roscisława, Świętopelka i Kocela. Cesarz wezwawszy Konstantego i Metodiusza przekładał im: *Wy bo jesteście Słowianina da Słowianie wsi czisto słoweński biesiedują.* A bezwątienia musieli obaj bracia dobrze umieć po słowiańsku, kiedy ich do tej misji zupełnie zastano przysposobionych, kiedy Konstanty zaraz, według słów biografy, *udał się na zwycięzną modlitwę, zaczął układać pismo i tłumaczyć ewangelię: „na początku było słowo i słowo było u Boga“ i t. d.*

Bezwątienia bracia udali się przed tym 861 roku do Bólgaryi, gdzie rozprzestrzeniające się mahometanństwo groziło wylaniem się do sąsiedniej Tracji i Macedonii. Pismo św. w słowiańskim języku, użycie tego języka przy służbie Bożej i cud nawrócenia bógarskiego króla Borysa, za pomocą obrazu przedstawiającego sąd ostateczny, utorowały drogę sławy apostołskiemu braciom błogosławionym do sąsiedniej Morawii, gdzie ich ze *czcią wielką przyjął Roscisław i uczniów zebrałszy oddał im na naukę. Wnet zatem przetłumaczony cały cerkiewny ustaw, nauczono jutrzni, niesporów i całej mszy św. I otworzyły się, według słów proroka, uszy głuchym aby posłyszały słowa ksiąg św. i słowo Boże stało się zrozumiałe niewomom. Bóg się bardzo rozradował z tego, a diabeł wstydem się okrył.* (1).

Dotąd widzieliśmy naszych apostołów słowiańskich działających bezpośrednio w sferze życia greckiego, jako wysłańców i nauczycieli greckich, pracujących na dobro i korzyść kościoła wschodniego. Odtąd zmienia się zupełnie ich charakter. A właśnie zbiór wszystkich faktów, które wpłynęły na dokonanie tej zmiany, przedstawiony w prawdziwym świetle krytyki historycznej, nie dozwoli nam, narówni z innymi historykami, dziwić się temu dlaczego wysłańcy greccy Konstanty i Metodiusz stali się potem tak głośnymi wyznawcami i również żarliwymi obrońcami propagandy rzymskiej.

Częsty pobyt w Carogrodzie rozciągał przed ich oczyma całe pasmo scen oburzających, będących następstwem rozwiązującej się spójności greckiej. Rozpusta i głupota Michała III, upadające służalstwo jego popleczników, a z nimi patryarchów carogrodzkich, (2) niesprawiedliwość i okrucieństwo, jakich się Focysz dopuszczał względem prawego, niewinnego i św. patryarchy Ignacego, włącznie z niedowierzaniem jakie miał Konstanty dla czystości zamiarów samego Focysza, kiedy mu zazdrość i niesłużalność temu św. wyrzucił; wszystkie te powody razem wzięte nie dawały naszym apostołom żadnej rękojmi o trwałości zasad religijnych, wychodzących ze źródła tak mętne-go, jakim był podówczas Konstantynopol. Jedność kościoła i wiary wymagała silniejszych dźwigni moralnych, a te jedna po drugiej pękały, pod brzemieniem występku całego wschodniego imperium. W myśli więc tej jedności kościoła i wiary, musieli się bracia z Tessaloniki zwrócić do innego źródła społeczności chrześcijańskiej, jakie podówczas Rzym wyobrażał. A same okoliczności, nieprzewidziane prawie, utorowały im drogę do tego.

Wszyscy biografowie błogosławionych Konstantego i Metodiusza jednoznacznie prawie powtarzają: *gdy się tym sposobem słowo Boże pleniło, od wieków przeklęty a zły i zawistny diabeł nie mógł ścierpieć dobra*

tego. Używszy więc wszystkich środków podburzył wielu mówiąc im: Nie na chwałę Bożą to wszystko. Bo gdyby się Bogu to podobało, to czyżby nie mógł tego uczynić żeby i ci, (Konstanty i Metodiusz) co teraz dopiero pismo swe złożyli, chwalili go (dawniej) w swym języku. Bóg zaś trzy tylko języki wybrał, któremi godzi go się chwalić: jęwejski, grecki i łaciński. A ci co to mówili byli to spółnicy łacini-czowa, archiereje, jereje (niemiecy) i ich uczniowie. Nietylko zaś to jedno rozgłaszał, ale i innych naucza- li niegodziwości mówiąc: Ci ludzie (Konstanty i Me- todiusz) jakby pod ziemią się legną, a jak gad wszel- ki są dziełem szatana, (warci więc swojej zastugi) bo kto żmiję zabije, dziewięciu się grzechów pozbedzie; a kto zabije (takiego) człowieka, ma przez dziewięć miesięcy pić z czary drewnianej i nie dotykać się szklanej.

Nie chcemy rozjaśniać znaczenia tych kilku męt- nych i smutnych wyrażań, które się z czułego serca żywotopisarza wylały. Ale zamilczeć nie możemy że właśnie w Pannonii i Morawii, dokąd tak solennie po- wolywano naszych apostołów, pomimo uniesienia ksią- żąt i ludu, doświadczyli oni niewiele lepszego przy- jęcia ze strony dawniej tu przybyłych biskupów i księży niemieckich. Niektóre z zarzutów przytoczonych znajdują się w pismach daleko większego rozgłosu nad skromną biografą wzmiankę (1). Dość że cała nienawiść księży niemieckich dla propagandy religij- nej słowiańskiej wylała się w obwinieniach najnie- słuszniejszych i zarzutach czynionych Cyrylemu i Me- todiuszowi, których nareszcie papież Mikołaj powołał do Rzymu dla usprawiedliwienia się.

Czterdzieści zatem miesięcy przebywszy w Morawii, zdążyli nasi apostołowie do Rzymu. W Pannonii, któ- ra im na drodze leżała, Kocel przyjął ich niemniej wspaniale, rozmiłował się w księgach słowiańskich, sam się ich czytać nauczył i oddał pięćdziesięciu uc- niów na naukę, z którymi się oni udali do Rzymu.

W Wenecyi nowa się zdarzyła pokusa naszym a- postołom. Zastąpili ich tu znowu biskupi niemiecy, sprzedając niejako w myśli upokorzenie, które, we- dług ich przekonania, koniecznie ich spotkać miało w Rzymie. Biograf oddaje to w nadzwyczajnej pro- stocie ducha i szczerości zarazem, ale przez to samo nieporównaną nadaje wartość swojej opowieści: *W Nat- ciech że (Banatki) byposzju jemu sobraszę se nan (na Metodego) łatinstiu episkopi i popowe i czernorizci, ja- ko wrani na sokol i wzdwigoszę trijezyczną jereś, (obarczali ich zarzutem o herezję języka) gtagolasz- ce: cztowiecze skaži nam koko ty jesi stvoril nynie Stowienom knigi i uczizi je (ich); ich że niest nikto že in (nikt inny) pierwieje obriel ni apostoli, ni rim- skij papież, ni feolog Grigorij ni Jeronim ni Augu- stin. My že tri tokmo języky wiemy, imi že dostoił w knigach stawiti Boga: jęwejskij, ellinskij i łatiniskij.*

Filozof im na to odpowiedział:

Ne idet li dožd ot Boga rawno na use; ili slnce takođe ne sijajet li na use; ni li ne dychajem na aer (alboż nie oddychamy powietrzem) rawno wsi? To kako wy se ne stydite tri języky tokmom ienęszce, (wymieniając tylko trzy języki) a proczim wsiem języ- kom i plemenem slepom welęszce byti i głuchom? Ska- žite mi Boga tworęszce nemoszčna (cóż to czynicie Boga nie tyle mocnym) jako ne mogaszca togo dati, ili zawistliwa ne chotęszca dati? My že narod mnogo znajem knigi umięjaszce i Bogu slawu wozdajaszce ko- żdo swoim językom. Jawie se sat si: Armeni, Persi, Awargi, Iweri, Sugdi, Gotfi, Obri, Tursi, Kozare, Arawlane, Egipci i ini mnozi. Aszce li ne choszete ot sich rozumeti, ponie (przynajmniej) ot knig poznaj- te sądjaj. Dawid bo wopijet gtagole: pojte gospodewi piesn nową.

Dodaje zatem biograf, najprawdopodobniej przyto- mny temu: *simi że słoweszy i inimi bolszimi posrami je i otyde ostawi ich.*

Czy papież Adryan, następca Mikołaja, pomimo jaw- nych i tajemnych oskarżeń, zaniesionych przez bisku- pów niemieckich, zupełnie inaczej był przekonany o zbawiennej misji naszych słowiańskich apostołów, czy może ich uległość przed stolicą rzymską, czy wreszcie ta ważna okoliczność że do tej świata czo- licy bracia przynosili z sobą zwłoki św. Klemensa papieża, dość że przyjęcie, jakiego doznali u papieża, mogło zaprawdę zasmucić tych którzy im obmyślali zgubę w sercu swoim.

Biograf tak opisuje to przyjęcie:

A gdy dochodzili do Rzymu, sam Adryan papież na- przeciwno nim wyszedł ze wszystkimi Rzymianami, nio- sząc świece zapalone, gdyż i św. Klemensa męczennika i papieża zwłoki z sobą przynosili. I unet Bóg wiele tu cudów okazał. Papież przyjąwszy słowiańskie księ- gi położył je w cerkwi św. Maryi, nazwanej Fa-

tań (1) i odśpiewał nad nimi liturgią św., a potem roz- kazał dwóm biskupom wyświęcić uczniów słowiańskich. Gdy tego dokonano, odśpiewano znowu liturgią w ko- ściele św. Piotra apostoła, w języku słowiańskim, a na drugi dzień śpiewano w kościele św. Petroneli, a na trzeci dzień w kościele św. Jędrzeja i znowu stamtąd w kościele wielkiego nauczyciela pogan Pawła Aposto- ła. I całą noc śpiewano nad grobem jego, stawiając Bo- ga po słowiańsku.

Niema przy tym żadnej wzmianki aby ich papież wysyłał na biskupów, powiedziano tylko o Me- todiuszu że: *papeż święti jego na popowstwo.*

Najważniejszą zaś z tego wszystkiego okolicznością jest to, że papież przyjąwszy tak serdecznie tłumaczy ksiąg słowiańskich, żadnego nie miał względu na ich przeciwników biskupów niemieckich. Tych nawet co utrzymywali że Pismo św. powinno tylko być w he- brajskim, greckim i łacińskim języku używane do służby Bożej, nazwał, według słów biografy: *piłatni- ky i trijezyczniki* (t. j. udającymi jak Piłat niewin- ność i faryzeuszami), *prokleti ji powele jedinomu epi- skopu iże bie tojaže jazeją bolet* (t. j. jednemu z tych biskupów który sam na tę zarazę cierpiał).

Krótki pobyt w Rzymie błogosławionych naszych apostołów odkrył im jednak zupełnie inne stanowi- sko w przyszłości i natchnął tym przeświadczeniem, że tylko w Rzymie i koło Rzymu jednoczyć się po- winno wszelkie religijne społeczeństwo, a tego wła- śnie środka, tego punktu zasadniczego moralnej potę- gi mimowolnie przyciągającej, jakieśmy tu wyrzekli wyżej, apostołowie nasi nie znaleźli przedtem w Caro- grodzie, gdzie łańcuch państwowy rwał się i pękał, łańcuch społeczny psuł się i gnął, a religia służyła naj- częściej za pokrycie wyuzdań wszelkiego rodzaju. W- łażająca o pomste niesprawiedliwości dokonana na św. Ignacym patryarsze, najsrozsze pastwienie się tak nad nim, jak nad tymi którzy niewinność jego uznawali,

(2) tysiączne podstępny i kłamstwa, któremi się naj- wyżsi dignitarze kościoła zastawiali, dla dopięcia swo- ich zamiarów, krzywoprzysięstwo, a i w tym nawet gwałty i przymus (3), wszystkie te dzienne sprawy, w niezmienną koleję wypadków carogrodzkich, rażąco odbijały w obec porządku, sprawiedliwości i wyso- kiej potęgi tej moralnej powagi i opieki, jaką papieże ówczesni nad całym światem chrześcijańskim rozla- cali. Oprócz tego wszystkiego nie wahamy się przypu- ścić, że głęboki i przenikliwy filozof Konstanty w mą- drzej hierarchicznej organizacji ówczesnego Rzymu, silnej swoją spójnością, znalazł daleko więcej żywio- łów, poręczających trwałość jego religijnej misji, nad subtelną filozoficzną przestarzałego wschodu, gubią- cą się w bezużytecznych dysputach i sporach, które bezpośrednio z obłędu w obłęd wprowadzały i nie- raz zagrażały szkodliwą państwu i społeczeństwu he- rezją. Konstanty ciągle i usilnie pracował w myśli zabezpieczenia swego słowiańskiego kościoła od tylu herezji, których dokonanie widział już w Carogrodzie, i od tych herezji, które, przy podobnym biegu rzeczy, żarliwość jego apostołowska przeczuwała w przy- szłości. Każde westchnienie jego do Boga, każda mo- dlitwa, a szczególnie przedśmiertna, jasno wyrażają tę niespokojność wzniosłej jego duszy o zachowanie sta- da chrześcijańskiego w jedności wiary i myśli.

Nie więc dziwnego że pobyt naszych apostołów w Rzymie przełamał niejako ostatecznie ich wysła- nictwo greckie. Znalazszy w Rzymie tak potężną rę- kojmię powodzenia swęj misji chrześcijańskiej, pomimo przesłańców i nienawiści niemieckiego duchow- ienstwa, Konstanty i Metodiusz stali się odtąd wy- słańcami Rzymu, zerwawszy z przeświadczeniem wszelkie z Carogrodem stosunki. Że je zaś zerwali, najlepszym dowodem jest to właśnie, co w takie po- dziwienie wprawia Pogodina, a mianowicie: przemil- czenie o nich obudwóch w pismach greckich owe- go czasu, jakoteż o ich misji apostołskiej mię- dzy Morawianami. Zaprawdę Focyszowi, który snadź z umysłu przemilczał o tym, a który już podówczas zamysłał i pracował nad zerwaniem jedności z Rzy- mem, wiele zależało na pozyskaniu co największej licz- by dycezyj dla kreowanego przez siebie i po swo- jemu patryarchatu. Cóż miał wspominać o takiej zie- mi i dycezyi, która choć największa z ówczesnych, ale w skład tego patryarchatu nie weszła? Zależało mu też wiele i na tym, żeby ludzi światłych i zasłu- gi w kościele mających skłonił przychylnie dla tych innowań w dogmatach wiary, na których przyszły swój kościół chciał oprzeć (4); ale czyż mu można było pomyśleć bez zgrozy o tych braciach z Saloniki, z których jeden wyrzucił mu niesprawiedliwość i za- zdrość przeciwno św. Ignacemu, największej przeszk-

(1) Sanctae Mariae ad praesepe *Θαρι*.

(2) *Vita Ignatii*, Labbé t. 8 p. 1191—1202.

(3) Rohrbacher t. XII 175—176.

(4) Rohrbacher tamże str. 246—250.

(1) Serbski, morawski, pannoński biograf Cyrylego i Me- todiusza.

(2) Rohrbacher t. XII str. księga 55.

(1) Rohrbacher t. XII pag. 477—478.

dzie do jego wyniesienia, a drugi święcenie kapłańskie i błogosławieństwo na misję apostolską pomiędzy Słowianami brał nie z Carogrodu lecz z Rzymu. Owszem, leżało to nawet w naturze rzeczy, że tak Forcyusz jak wszyscy co jego myśli podzielałi, musieli przemilczeć o misji Konstantego i Metodiusza, którzy odstąpili nauki i cywilizacyjskich mistrzów z Carogrodu.

Ale i Cyryli z Metodiuszem zarówno też przemilczeli o dawnych swych nauczycielach i współziomkach Grekach, — a raczej woleli ich nieprawości ówczesne szlachetnym pokryć milczeniem. Od czasu wyznania wiary, dokonanego w Rzymie, od czasu przyjęcia z tegoż Rzymu święcenia kapłańskiego i błogosławieństwa, nie znajdujemy we wzmiankach, legendach i biografiach, po nich pozostałych, żadnego śladu najmniejszych stosunków z Carogrodem. Konstanty, jakby na potwierdzenie tego z przeświadczeniem dokonanego zerwania, stałe aż do śmierci pozostał w Rzymie, modląc się o powodzenie Słowian nowonawróconych, a mając nawet pewnego razu jakieś objawienie, wdział pustelniczą suknię, przyjął imię Cyrylego i z modlitwą na ustach o rozpowszechnienie się kościoła słowiańskiego, umarł 14 lutego 869 r. Pochowanym został w kościele tegoż św. Klemensa, którego zwłoki wynalazł i do Rzymu przywiózł.

Biograf nadpodziw malowniczo i wzniosłe zarazem oddaje ostatnie chwile błogosławionego Cyrylego.

I mnogie, powiada, trudy go spotkały i w chorobie zapadł. A gdy już mnogo dni cierpił, miał pewnego razu objawienie Boże i począł tak śpiewać: „Rozradowało się serce moje i duch mój rozweselił się (gdym wspomnił o tych) co rzekli do mnie: wnidziem do przybytku pańskiego.“ I oblókł się w czcigodne szaty i dzień ten cały tak przeżył, radując się i mówiąc: „Odtąd ani cesarzowi, ani komubądź na ziemi służę nie jestem, lecz tylko Bogu wszytkodzierzcy. Byłem i nie byłem ale jestem na wieki amen.“ Nazajutrz przyoblókł się w święty obraz mnicha i światło ku światłości przyjąwszy narzekł sobie imię Cyryli. W takim stanie przeżył dni dziesięć, a gdy się przybliżał czas, w którym miał przyjąć (nagrodę) i w wiecznym stanąć żywocie, podniósł ręce ku Bogu i modlitwę ze łzami wynurzył tak mówiąc: „Gospodynie, Boże mój, któryś wszystkie chóry aniołów i sity bezcielesne stworzył, rozpiął niebo i ugruntuował ziemię i wszystko co istnieje wyprowadził z niebytu do bytu, — któryś zawsze wychował tych co twoją wolę spełniali, bali się Ciebie i przykazania Twoje chowali, — wysłuchaj też i moją modlitwę i ochroń wierne Ci stado, do któregoś mnie niedoświadczony i niegodny służę Twojego wybrał. Wybaw je od bezbożnej i pogańskiej złośliwości tych którzy Ci bluźnią; zatrać wszelką heretykę i dopuść aby się kościół Twój rozrósł we mnóstwie. Połącz wszystko w jednomyślności i powołaj ludzi dostojnych, jednomyślnych w świętej wierze Twojej i wyznaniu prawowierne i natchnij ich serca słowem Twój ojcowskiej opieki. To coś mnie poruczył wręczam Ci jako Twoje. Urządźże to wszystko silną prawicą Twoją, aby wszyscy wychwalali i stawili Twoje imię: Ojca, Syna i Ducha świętego amen.

I rozkazał papięż powiada biograf dalej, wszystkim Grekom, jacy się podówczas znajdowali w Rzymie, a także i Rzymianom, którzy się ze świecami poschodzili, śpiewać nad ciałem jego. I tak go przeprowadzali jakby samego papięża.

Jak wzniosłe i pełne głębokiego znaczenia są ostatnie słowa świętego Cyrylego zwrócone do brata, któremu stado nowonawrócone poruczał: *Se brate supraga biachowie jedina brazda težeszca i az na lechie padaja swój den skończaw. A ty lubisz gorą wemi; to ne mozi gory radi ostawili uczenija swojego paczebo mozesz kym spasen byti. Jest to aluzja do góry Olimpu, na której, według podania, lubiał przebywać Metodiusz podczas swego pobytu w Grecyi. Umierający powiada: oto bracie zaprzęży stanowimy ciągnąc po jednej bródzie, a ja na grzędzie upadam swój dzień skończywszy. Wiem że bardzo lubisz Olimp. Pamiętajże abyś dla tej góry nie zostawił nauczania Słowian, bo wątpię aby ci co skuteczniej do zbawienia posłużyło.*

Na udowodnienie niejako że apostołowie nasi wieczny sojusz z Rzymem zawarli, podaje legenda pełen nabożnej i rozczulającej tajemniczości obraz, stwierdzony dokonaniem wielkiego cudu. Matka błogosławionych Cyrylego i Metodiusza wymogła słowo od syna, że który z nich przy życiu zostanie, ten ma przywieźć ciało zmarłego brata dla pochowania w rodzinnym klasztorze. Z tego powodu, po śmierci św. Cyrylego nalegał i błagał Metodiusz aby mu pozwolono zabrać zwłoki brata. Papięż, chociaż z niechęcią, ustąpił naleganiom i prośbom. Ale gdy ciało zmarłego wynoszono przez bramę miasta, ten podniósł z trumny rękę martwą i wskazał że chce zawsze w Rzymie pozostać.

Ten zakład wiary i ufności, stwierdzony śmiercią św. Cyrylego i tak wymownym cudem po śmierci, dawał najlepszą porękę Rzymowi o prawowitości i prawowierności katolickiej naszych słowiańskich apostołów, i zarazem rzucał w odległą przyszłość przeblask tej idei, która w dalszym rozwoju umysłowego życia miała przyswieszczać Słowianom. W bezładnym, kometarynym przebiegu państw i ludów średniowiecznych, Słowianie wzniosłym geniuszem braci Cyrylego i Metodiusza sprowadzeni zostali na tę eliptyczną drogę, po której już składnie i szybko krążyć mogli koło Rzymu, jakby słońca, które, według słów Rohrbachera, samo jedno w owym wieku i czasie ogarniało dobroczynnymi promieniami myśli i wiary całe narody i państwa.

NOTATKI Z WYCIECZEK PO KRAJU,

Wacława Przybylskiego.

PUSZCZA BIAŁOWIEŻSKA I ŻUBRY.

(Dokończenie.)

Kwestya przyswojenia żubrów wielu miała obrońców, ale też wielu uczonych uważało ją za niemożliwą. Schneeberger powiada, że żubr młodo złapany, łatwo się da ugłaskać, mianowicie gdy go krowa karmić będzie i dodaje, że tak chodowane żubry mogą się krzyżować z bydem domowem. Gilibert, podczas swego pobytu w Grodnie, robił liczne postarzenia nad zwyczajami żubrów, i doszedł do wręcz przeciwnych wniosków; gdy bowiem dwóch złapanych żubrów (cielęta 2 tygodniowe), przypuszczono do krowy, wcale ssać nie chciały, a zgodziły się kożę przyjąć za mamkę, chociaż po zaspokojeniu głodu uciekały od niej ze wstrętem. Podhodowawszy, Gilibert trzymał młodą żubrzcę u siebie, nim skończyła lat trzy, karmiąc ją parzanką z maki żytniej i owsianej. Później chciał ją oswoić z towarzystwem bydła domowego; lecz wszelkie usiłowania były próżne; skoro bowiem postawiono obok młodej żubrzcę w stajni slicznego bujaka, rzuciła się nań jak wściekła i zmusiła biedaka do ratowania się ucieczką. Wprawdzie po długich staraniach zdołano ją o tyle oswoić, że poznawała swoich dozorców i przyjmowała pokarm z ich rąk, lecz łagodność ta częste ją opuszczała, bo byle się zjawiła kolo zagrody, w której trzymano żubrzcę, obca jaka postać, wpadała w szaleństwo i rzucała się na wszystkie.

Obecnie p. Walicki doszedł do zupełnie przeciwnych wniosków; widoczna więc że ta dzikość albo była tylko wrodzoną jednemu okazowi, albo że może środki użyte do przyswajania były niewłaściwe.

Najciekawszymi atoli są próby p. Dołmatowa, datujące od 1846 roku, gdy polecono mu złapać dwóch żubrów i przesłać do Londynu. Ponieważ przewiezienie starych żubrów było prawie niepodobnem, za radą więc p. Dołmatowa, zgodzono się złapać cielęta, chować je przy krowie i ugłaskać. Przytaczamy tu w przekładzie pobieżne sprawozdanie p. Dołmatowa, ze sposobów jakich na ten cel używał.

„Wkrótce po przybyciu mojem do białowieżskiej puszczy, dnia 20 lipca 1846 r., gdzie oczekiwała mnie zebrana uprzednio obława, składająca się z 300 ludzi pokliczy i 80 strzelców z bronią tylko prochem nabitą, posłałem kilku leśników, celem odszukania żubrów. Po krótkim przeciągu czasu wysłani wrócili z wiadomością, że nad rzeką Hwozdnią widzieli dość liczne stado żubrów z cielętami. Wyruszyliśmy więc do wskazanego ostępu, wraz z miejscowym leśniczym i 30 doświadczonymi strzelcami, prowadząc ze sobą kilka swów gończych. Głównem zadaniem naszej wycieczki było rozłączenie starych żubrów z cielętami.

„Dzień był przesliczny, w powietrzu panowała cisza i tylko śpiew ptaszat i szelest liści potrąconych nogą przechodniów przerywały poważne milczenie otaczającej nas puszczy. Wkrótce przedstawił się oczom naszym widok, który napróżno usiłowalibyśmy skreślić piórem niewprawnym. Na wyniosłej równinie, pokrytej tu i owdzie samotnie stojącymi dębami i sosnami, leżało spokojnie stado żubrów; dokoła starych igrały swobodnie cielęta; to próbując się na rogi, to wzajem uganiając się w niesfornych podskokach, lub niby spłoszone stawały wszystkie jak wryte, z podniesioną głową, rozdętymi nozdrzami i iskrzącym okiem, poglądając niespokojnie dokoła. Jedne podbiegały do swoich matek, pieściły się z niemi i niepokoiły je, jakby pragnąc zmusić do powstania, by się posilić piersią matczyną; drugie w niebacznej wesołości drażniły starych żubrów, uderzając ich głową, lub jak się zdarzyło i odskakując lekkimi susami. Lecz niedługo trwało to wesele. Złowieszcy

odgłos trąb zagrzmiał wśród ciszy, a echa puszczy powtórzyły go wielokrotnie, jakby strwożone. Żubry w jednym mgnieniu oka zerwały się na nogi i niespokojnie poglądały w tę stronę; potem, ze zwykłą tym zwierzętom taktką, puszczając cielęta przed sobą, zwrócili się do ucieczki, a gniewna ich postać i polyskujące krwawym blaskiem oczy, nie wróżyły nic dobrego dla tych co staną im na drodze. Wkrótce atoli wrzask obławy i strzały pomieszały szyki i zmusiły starych żubrów zwrócić się w przeciwną stronę zostawiając bez obrony wysunięte naprzód cielęta, przed któremi obława się rozstąpiła i później znów zamknęła, oddzielając je przez ten ruch od stada. Złapaliśmy tym sposobem dwóch samców, jednego w wieku 3, drugiego 15 miesięcy. Pierwszy mało się bronił; kilku strzelców bez wielkiego mozołu dało mu radę i związanego odwieziono do dworu. Z drugim nie tak szło łatwo; dziewięciu strzelców, co go pochwycili, odrzucił jednym szarpnięciem się daleko od siebie, a złamawszy szereg obławników i zdeptałszy kilku psów, rozjuszony i gniewny w jednej chwili znikł nam z oczu i zaledwie w kilka godzin, idąc za gonem psów, złapaliśmy go, zapędziwszy w oparzelisko. Dla złapania jeszcze czworga cieląt, urządziliśmy w lesie, w miejscu błotnistém i grzązkiém, pewien rodzaj zagrody, do której wpędzone obławą stado nie zdoła już się bronić i można natenczas wybierać wedle potrzeby i celu. Sposób ten bardziej się jeszcze zaleca ze względu na to, że nie między żubrów, co może być bardzo szkodliwem dla ich zdrowia, mianowicie podczas lata.

„Z sześciu złowionych żubrów, najmłodszy miał zaledwie dwa dni. Przypuściliśmy go zaraz do krowy, której sierść kolorem zbliżoną była do sierści żubrzcę; cielak od razu zaczął ssać, wbrew twierdzeniu Giliberta.

„Niedługo jednak mogliśmy się cieszyć widokiem jego wzrostu, miał bowiem pewną nabrzękłość na gardle, która powiększając się udusiła go na szósty dzień po pojmaniu.

„Para trzymiesięcznych cieląt ssała także krowy; piątą żubrek, nieco starszy, łatwo się przyuczył pić mleko z naczynia. Pocieszny to był widok, gdy wylizawszy wraz z towarzyszami dojniczki od mleka, z największą skrupulatnością oblizywali sobie pyszczki. Cielak żubrowy potrzebuje mleka od dwóch krow zwyczajnych, co naprowadza na myśl jednakowego stroju wymienia żubrzcę i bawolicy, t. j. że chociaż małe co do objętości, znaczną mięści w sobie ilość mleka.

„Po kilku dniach nasi wychowawcy stracili dzikość spojrzenia, przestali się strachać, a wrodzona młodocianemu wiekowi wesołość i rzeźkość wzięły górę. Gdyśmy je po raz pierwszy wypuścili na ogrodzony dziedziniec, poczęły igrać wesoło, w szalonych susach i podskokach, zaskakując patrzących nadzwyczajną swą zwinnością i lekkością. Stare krowy lękają się żubrów, ale cielęta prędko się z niemi oswajają, igrają razem i próbują się spięrać na rogi, przyczem zauważaliśmy fakt dosyć zadziwiający, że żubrzcę, jakby umyślnie ustępowały i dawały się pokonywać zwyczajnym cielętom.

„Piętnasto-miesięczny nasz jeniec przez długi czas zachował swą dzikość: byle się kto doń zbliżył, wnet oczy krwią mu nabiegały, trząsł głową, kopał racicami, rzucał się wściekle na przybysza, i zaledwie po dwóch miesiącach cierpliwego i ogłędnego oswajania, potrafiliśmy go trochę przylaskać, przynajmniej o tyle, że się przyzwyczaił i przywiązał do swoich dozorców i że można go było zwolnić z uwięzi.

Dnia 22 października 1847 roku złowiono przypadkiem pięcioletnią cielną żubrzcę, niesłychanej dzikości, tak iż musieliśmy ją trzymać ciągle w zagrodzie, otoczonej wysoką palisadą. W tym wieku, jak się zdaje, dosyć byłoby trudno oswoić i ugłaskać żubra.

„Żubrzcę trzymaliśmy tylko do czasu ocielenia się, co nastąpiło 7 maja; poczęci dostrzegaliśmy niespodziewaną zmianę w jej usposobieniu, straciła bowiem wiele na swęj dzikości, a co dziwniejsza, pozwalała bawić się z psami swemu cielęciu, wcale się na to nie sroząc.

„Każdą razą gdyśmy wypuszczali żubrów do obszerniej zagrody, uderzający mieliśmy przykład, jak się w nich żywo przechowywała pamięć swobodnego życia, śród rodzinnych ostępów Białowieży. Zaletwie wybiegną na otwarte miejsce, złudzone pozorem swobody, stają z dumnie podniesioną głową, z rozdętymi nozdrzami, jakby schwyty chęć chęć aromat lasów dalekich; w kilku nieporównanych susach próbują zda się potęgi swych mięśni, i wtórzając sobie radość

nym urywaniem rykiem, do głosu odległego wystrzału podobnym, igrają wesoło. Lecz niedługo trwa ta radość, bo byle się dalej posunęły w biegu, już ich zagroda powstrzymuje. Wtenczas to boleśnie patrzeć na zmianę co się w całej postawie tych biednych zwierząt objawia; spoglądają tęsknym, niemal łzawym okiem na lasy odległe i zieleniące się łąny, jakby sobie przypominały urok straconej swobody; harda głowa spuszcza się ku ziemi i powolnym, chwiejącym się krokiem same już wracają do chłewu.

„Młode żubrzyki karmiły się w dość odległych od siebie zagrodach. Cielęta, co ssały krowy, trzymały się krzepko i zdrowo, lecz dwa drugie żubrzyki, co jako starsze, mlekiem krowi z nacznia były karmione, znacznie ucierpiały na zdrowiu. Można by to, jak się zdaje, przypisać okoliczności, że mleko przynoszono z wioski o parę wiorst odległej; gdyż później gdysmy sprowadzili dwie krowy do dworu, zdrowie wychowawców naszych znacznie się poprawiło.

„Najstarszy, piętnasto-miesięczny żubrek jadł owies z sieczką, siano, mianowicie z błotnych i leśnych sianożęci, młodą korę i liście osiny, grabu, jesionu, lipy, jarzębiny i t. p. Ten sam pokarm dawaliśmy później i innym cielętom.

„Podczas lata żubry piją wiele i często, bez wyboru rzeczną lub studzienną wodę; podczas zimy mniej daleko, i zwykle przekładają trochę ogrzaną wodę. Skoro im głód lub pragnienie dokucza, zwiastują o tym chrapaniem krótkim i urywaniem.

„Żubrzyki hodowane w domu, mając podostatkiem pokarmu, wolne od przesładowań owadów, ochronio-

ne dachem od zbyt dużych chłódów i spiekoty, rosły daleko zwawiej, niż ich rówieśnicy w puszczy, do tego stopnia, że prawie o dwa razy przynosiły ich wielkością. Ciekawą byłoby rzeczą, opierając się na tym widocznym wpływie hodowania domowego, określić ileby ważył żubr swojsko pielęgnowany, skoro dziki stary samiec waży od 30—45 pudów.

miotu. Nie pragnie on ograniczać swych doświadczeń na kilku lub kilkunastu okazach, lecz zakreśla odradza śmiały i oryginalny plan, uderzający prawdopodobieństwem i niezwykłością pomysłu.

Zamierza najprzód przyczynić się przez dozór nieco skomplikowany do zmniejszenia śmiertelności i powiększenia liczby rodzących się żubrów, by przez to zapewnić byt plemienia, a później rozwija powoli pomysły przyswajania.

Środki przezeń podane są następujące: Założenie w puszczy, gdziekolwiek nad rzeką Białą, obszernej zagrody, w której umieścić 10 żubrów dorosłych i 2 żubrów. Zagroda winna być murowana, na 12 stóp wysoka (przez wzgląd na siłę żubrów, pożary częste w puszczy, oraz na najścia drapieżników, jak wilki, niedźwiedzie i t. p.); przy wewnętrznej ścianie zagrody można urządzić niewielkie stodoły do składania siana podczas zimy i domki dla strażników dozoruujących. Pierwszym krokiem ku przyswojeniu będzie stałe wydawanie pokarmu o pewnej oznaczonej godzinie; następnie, gdy się żubry oswoją z tą opieką i zrozumieją jej potrzebę, można będzie powoli odgradzać po kawałku część zagrody i w ten sposób ścisnąć żubrów w ich pomiesz-



ZANIEMYŚL w w. ks. poznańskim. (Ob. artykuł w N. 178 Tygodnika).

„Podczas przewożenia żubrów ładem, na przestrzeni kilkudziesięciu mil, jedna para, przeznaczona do Petersburga, postawioną była w długiej rozgrodzonej klatce, głowami do siebie; klatka zaś była tak wąską, że żubry ledwo mogły się położyć swobodnie. Nowy rodzaj niewoli i wstrząśnienia wozu, wielki wywarły wpływ na żubrów. Pierwszego dnia stały osłupiałe, jakby zdziwione tym stanem niezwykłym, i nie przyjmowały pokarmu; lecz ze wszystkiemi widac można się oswoić, bo już na drugi dzień zupełnie się uspokoiły i szczęśliwie całą podróż odbyły. Samiec i samica, przeznaczone do Londynu, zostały umieszczone w daleko obszerniejszych klatkach, otwartych u góry, co omal nie spowodowało nieszczęścia, gdyż żubr, bez względu na 4 stopową wysokość swego więzienia, tylko co zeń nie wyskoczył; rzucił się przez całą drogę gwałtownie i ryczał gniewnie, zupełnie jak rozjuszony wół zwyczajny, co poraz pierwszy zdarzyło nam się słyszeć, gdyż, jak wiadomo, ryk żubra zwyczajny zupełnie jest inny. Nie zawadzi tu wspomnieć, że po obławie, kiedyśmy polapali młode żubry, matki osierocone, przebiegały puszcę rycząc boleśnie, wyskakiwały na drogę i pograniczne łąny włościańskie, napadały na ludzi, wozy, konie i t. p. Ofiarą rozjuszenia tego padł włościanin z majątności p. Złodka.

„W Grodnie umieściliśmy swych wychowawców na brzegu Niemna, w obszerniej stodole, umyślnie na ten cel rozgrodzonej. Kiedy na drugi dzień kazał rozebrać przepierzenie stodoły, żubry rozpoczęły między sobą wścieklą walkę, i zaledwie zdołano ich rozbroić. Wieczorem, tegoż dnia, pomimo mocnej z dyłów przegrody, żubry potrafiły ją podruzgotać i znowu rzuciły się do walki zażartej, niedawno przerwaną.

„Podróż żubrów wodą może posłużyć za dowód łatwego ich ugłaskania; dozorczy bowiem musieli stać przy każdym i gładząc uspakajając podrażnienie, przez huśtanie statku spowodowane, a gdy się który oddalił na chwilę, żubry zaczynały się rzucać wściekle, co zmusiło dozorców spać nawet w klatkach wraz ze swymi wychowawcami.“

Pan Dołmatów następnie podaje swoje projekta oszwajania stopniowego żubrów, nie pozabawiając ich przytem swobody. Projekta te pełne są głębokiej znajomości natury tych zwierząt i zamilowania przed-

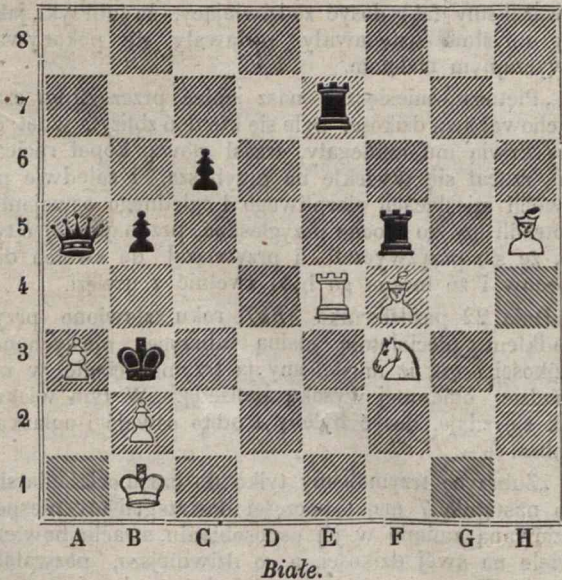
kaniu. Dalej p. Dołmatów wypisuje sposoby doglądania podczas zimy, gdy te zwierzęta najwięcej potrzebują opieki; reszty, jak powiada, dokonają cierpliwość i uwaga dozoruujących.

O ile ten pomysł jest praktycznym, może z czasem doświadczenie nauczy; my ze swjej strony uważamy go za możliwy, przekonani w obecnym czasie świetnemi próbami w tym względzie p. Leopolda Walickiego, znakomitego naturalisty-agronoma.

SZACHY.

ZADANIE CLXVII.

Białe zaczynają i dają matę za czwartym posunięciem.
Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 166.

- | | |
|-------------------------------|----------------------|
| Białe. | Czarne. |
| 1) E 6—F 7. | 1) H 7—G 8 † |
| 2) F 7—G 8 biorą | 2) Lauferjakkolwiek. |
| 3) E 4—D 6, albo, jeżeli lau- | |
| fer czarny pozostał na tej | 3) Lauferjakkolwiek. |
| linii, D 2 | |
| (4) D 6 lub D 2—C 4 † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 202.

Co ubogim damy, to u Boga mamy.